

Wojciech Gunia

Bardzo długo była tylko ciemność

www.carpenoctem.pl

Bardzo długo była tylko ciemność
Wojciech Gunia

Korekta: Michał Budak
Skład: Paweł Mateja

Copyright ©2013 by Wojciech Gunia

Bardzo długo była tylko ciemność i nierównomierny stukot kół, ciągi wnikałego między deski towarowych wagonów lodowatego powietrza unoszącego żdźbła słomy, na której kazano nam leżeć. Była tylko ciemność, chłód i stukot kół; następnie ktoś krzyknął, że na horyzoncie widać już miasto. Jakiś człowiek, zapewne ważny, co można było wnioskować z kategorycznego tonu, jakim się do nas zwracał, powiedział nam przed wyjazdem, że będziemy w nim bezpieczni.

Kłamał.

Spoglądałem przez prześwity pomiędzy starymi deskami, aby zobaczyć miasto, do którego zmierzaliśmy, jednakże przez długi czas widziałem jedynie bezkresną równinę, tak samo monotonna jak nasza milcząca podróż w towarowych wagonach. Przetaczały się nad nią potężne chmury, czasami odsłaniające blask księżyca; wówczas w srebrnym świetle dało się zauważyć mgliste sugestie nielicznych drzew i krzewów, porastających równinę ścielącą się aż po horyzont. W końcu ktoś krzyknął, że widać już miasto; docisnąłem twarz mocniej do desek, usiłując za prostym torem jazdy składu dostrzec jakąś jego zapowiedź; jednakże długo niczego nie było widać. Dopiero po jakimś czasie daleko, daleko przed nami zamigotał jakiś mały, czarny punkt, który powoli, w rytmie kół toczących się po szynach, zaczął rozrastać się w widmowe zarysy kształtów jakichś zabudowań. Zastanawiałem się, jak to możliwe, że dostrzeżono miasto już wcześniej. Jeden z towarzyszy podróży, jakby odczytawszy moją myśl, moje nieme pytanie, powiedział, że ci, którzy zajmowali wagony z przodu składu zapewne już od dawna widzieli miasto, zaś ich okrzyki radości wyprzedzały prędkość i długość naszego pociągu; szerzyły się plotką i pogłoskami pośród pasażerów, aż w końcu dotarły na sam koniec, pozwalając nam dowiedzieć się o mieście jeszcze zanim byliśmy w stanie je zobaczyć z ostatnich wagonów. Przycisкалиśmy zatem wszyscy nasze zmizerowane, zmęczone twarze do desek i przez prześwity, przez które wpadało do środka ciemne, lodowate powietrze nocy, staraliśmy się pochwycić wzrokiem cel naszej podróży.

Kształt na horyzoncie powoli obrastał w kolejne detale, pęczniał w wysokie wieże, kopuły i biegnące pośród domów strome ulice, pnące się ku szczytowi, zwieńczonemu koroną murów górującego nad wszystkim zamku. Dało się zauważyć wyraźną, czarną nić miejskich murów,

nad którymi wznosiły się zabudowania. „To będzie nasz nowy dom” – ktoś powiedział.

Kuląc się z zimna, otulaliśmy ciała zabranymi naprędce kocami, okrecaliśmy się w znalezione po drodze szmaty, spoglądając w stronę miasta lub rozglądając się po wnętrzu wagonu z rzadka rozświetlanym blaskiem księżycy, przebijającym się przez chmury i luźno zbite deski.

Budzono nas w środku nocy, wrywano z łóżek, z miękkich pościeli, mówiąc: „musicie uciekać”. „Nie ma czasu do stracenia, każda sekunda się liczy” – mówiono. Zrywano z nas kołdry, miękkie od snów, bezwzględnie pospieszano nakazując spakować tylko najważniejsze rzeczy. Wchodzono do naszych domów, budziliśmy się w towarzystwie rozgorączkowanych poganiaczy, którzy otwierali zamki naszych mieszkań i stawali nad naszymi głowami, krzycząc do uszu, szarpiąc za ramiona. „Musicie uciekać” – mówili. „Wasze życie jest w niebezpieczeństwie. Jak możecie być tak bierni, ratujcie się!” – wołali. Słyszałem ich krzyki nie tylko w moim domu, nie tylko w sąsiednich mieszkaniach, ale także dobiegające z ulicy, z innych domostw, w które, nieproszeni, wchodzili, aby nieść ratunek. „Nie ma czasu na zadawanie pytań” – odpowiadali, kiedy usiłowaliśmy się dowiedzieć o przyczynach tego powszechnego popłochu, tej nagłej ewakuacji.

Nie zdążyliśmy się nawet porządnie spakować, wypchnięci na ulice z nieodkniętymi torbami, niedopiętymi walizkami, z kupami zgarniętych dopiero co ubrań i koców, które co chwila upadały komuś na chodnik. Jednakże nie było czasu, aby sięgnąć po zgubioną własność, gdyż poganiacze okrzykami, gwałtownymi gestami pospieszali nas, mówiąc, że życie jest ważniejsze niż przedmioty, że jeszcze będziemy mieć czas, aby wszystko nadrobić, aby wszystko odzyskać.

Płynęliśmy zmęczoną, zdezorientowaną rzeką korytami ulic w stronę dworca kolejowego, gdzie miał czekać na nas pociąg. Na miejscu, na peronie, kłębiły się już tłumy, słysząc było gwar zawodzeń – pytań bez odpowiedzi, płaczu dzieci, które straciły z oczu matki, matek, których dzieci zgubiły się w gęstym tłumie. „Wszyscy wsiądą do tego samego pociągu” – uspokajano. „Znajdziecie swoje rodziny na miejscu, kiedy już dojdziecie do miasta i otrzymacie azyl” – obiecywano.

A zatem wsiadaliśmy, wpychano nas do starych, towarowych wagonów; bez żadnego planu i bez żadnej myśli, w popłochu, pośpiechu, w wszechobecnym rozedrganiu. Kazano nam umościć się na słomie, zaścielającej wnętrza. Wypełnione wagony, do których już nikt nie był w stanie się zmieścić, zamykano na głucho; słyszałem jak ktoś od drugiej strony zakładał kłódkę na drzwi, po chwili zaczęto przybijać do nich deski.

Długo czekaliśmy, aż pociąg zapełni się do ostatniego miejsca, po ostatnią osobę; czekaliśmy zanurzeni w niekończącej się nocy, obozwardnieni zmęczeniem, płaczem i gwarem pytań, na które nie dało się udzielić odpowiedzi. W końcu ruszyliśmy, po czasie, którego nie jestem w stanie określić; po czasie rozbrzmiewającym zawrozczeniem, złorzeczeniami i błagalnymi pytaniami, rozpaczliwym nawoływaniem. Ruszyliśmy i szybko nastąpiła cisza, później była jedynie ciemność i niekończący się stukot kół.

Usiłowaliśmy jakoś dojść do przyczyn całego zamieszania, szeptem wymieniając uwagi i podejrzenia.

– Być może nastąpiła inwazja. Dużo ostatnio mówiło się o niebezpiecznych ruchach na północy. – powiedział leżący naprzeciw mnie mężczyzna. Był ubrany w marynarkę, zarzuconą na podkoszulek i spodnie od pidżamy, których najwyraźniej nie zdążył zmienić. – Niedawno czytałam o ryzyku epidemii po tym, jak do rzeki osunęło się zbocze cementarnej góry za miastem. Jad trupi dostał się do ujęć wody. – rzuciła jakaś kobieta skryta w kącie wagonu.

– Nie sądzę, aby z tego powodu trzeba było ewakuować nas wszystkich. – powiedział mężczyzna.

– Rozłączono mnie z rodziną. – ktoś rzucił pełnym bólcgi głosem.

– Mówili, że się odnajdziemy na miejscu. Jeden z poganiaczy cały czas powtarzał, że będą spisywać nasze nazwiska i łączyć rozdzielonych. – odpowiedział po chwili podróżny wygodnie rozsiadły na starej kurtce.

– Musiał tak mówić, inaczej nie zapanowałiby nad paniką. – rzekł jeszcze inny głos.

– Czyli nigdy ich nie odnajdę? – zapytał ten sam zbolący głos co przed chwilą; nie potrafiłem określić, czy należał do kobiety, czy do mężczyzny.

– Odnajdziesz. Poza tym wszyscy coś zgubiliśmy, każdy z nas coś zostawił. W tej sytuacji musimy sobie pomagać. – uspokajał jeszcze ktoś

inny.

Tak rozmawiając w noc, w końcu posnęliśmy; a kiedy niektórzy z nas przebudzili się, ze zdziwieniem zauważyli, że wciąż jest jeszcze ciemno; pociąg uciekał linii świtu. Jechaliśmy dalej w milczeniu, omotani ciemnością jak pajęczyna.

Aż w końcu ktoś krzyknął, że na horyzoncie widać już miasto.

– Będziemy tam bezpieczni. – szepnął, z westchnieniem ulgi, jeden z uchodźców zajmujących wagon.

Wpatrywałem się we wzrastające konstrukcje, w ostre kształty pęczniejące w oddali. Widziałem już lekko zakrzywioną linię torów, po której mknął pociąg; początek składu znikał we mgle, gdzieś w olbrzymiej odległości. Miasto wzniesiono, obudowując samotną górę, wbitą w równinę niczym kamień w tafłę lodu. Tworzyły je gęste zabudowania, które wyrzynały się coraz mocniej z poświaty wzbierającego świtu. Kołysanie sprawiało, że wciąż chciało mi się spać, ale przenikliwie zimno nie pozwalało mi zmrużyć oka. Jechaliśmy bardzo, bardzo długo mając już na widoku cel naszej podróży, ten powoli wzrastał, aż w ciemnej wstędze murów dostrzegłem czarną kropkę. Dopiero po długich minutach, być może godzinach, zorientowałem się, że ten czarny punkt rozrasta się w olbrzymią bramę, zaś mury, tak niskie w oglądzie z daleka, zdawały się teraz sięgać aż pod chmury. Za bramą ziała ciemność, nasz skład był przez nią pochłaniany niczym stalowa nić nawijana na szpulę skrytą w otchłani.

– Nigdy nie byłem w tym mieście. Zawsze chciałem tam pojechać na wycieczkę, ale ilekroć planowałem wyjazd, coś stawało na przeszkodzie i zmieniałem plany. – szepnął jeden z ludzkich cieni zaścielających deski wagonu.

– Myślicie, że pozwolą nam wrócić do domu? – zapytał inny – Zostałam tam moje ptaki, nie pozwolili mi ich zabrać. Boję się, że nikt się nimi nie zaopiekuje. – cień tłumaczył swoje pytanie.

Pamiętam, że na dworcu wiele osób niosło klatki ze zwierzętami; poganiacze uprzejmie, lecz stanowczo odbierali je, tłumacząc, że zwierzęta muszą przejść przez kwarantannę.

– Jak je odzyskamy? – pytali niektórzy.

– Wszystko zostanie opisane, proszę podać imię i nazwisko, oznaczmy państwa klatkę. – mówili.

Niektórzy usiłowali obejść przepisy.

– To jest mój syn, tylko wygląda jak pies. – wypluwała z siebie nerwowo jakaś stara kobieta. – Urodził się podobny do psa, ale zapewniam państwa, że to stuprocentowy człowiek. – szeptała przez łyżki, kiedy poganiacze nie dawali wiary jej słowom. – Spójrzcie, w gruncie rzeczy jest taki podobny do mnie. Posłuchajcie, jak kwili. Jego ojciec zmarł, jestem sama, nikt się nim tak nie zaopiekuje, jak jego matka. Zostawcie go przy mnie, proszę. Muszę go karmić, muszę go tulić, jest podobny do psa, ale to ludzkie dziecko, potrzebuje miłości.

Odszedłem, pędzony tłumem i głosami poganiaczy w swoją stronę i nie widziałem, czy w końcu spełniono jej prośbę.

Kiedy nasz wagon wjechał w bramę, mogłem dostrzec przez luźno zbite deski wagonu potężne, niknące w ciemnościach stalowe kratownice i wielkie betonowe ściany, szerniałe od dymu. Do środka wdarł się zapach smaru, sadzy i fekaliów, zalegających na torach. Pociąg jechał wolno, w milczeniu, gdzieś błyskały światła latarni i lamp, odległych niczym gwiazdy. W końcu stukot wygasł zupełnie i zapanaowała całkowita cisza. Po dłuższej chwili usłyszeliśmy odgłosy zrywanych z drzwi desek i otwieranych kłódek, aż wreszcie do wnętrza wlało się trochę zimnego, słabego światła. Obolali, ścierpnięci, powoli wstawaliśmy, zbieraliśmy swoje nędzne tobołki i wychodziliśmy na peron. Koniec równie długiej jak nasz pociąg platformy niknął gdzieś w oddali, zaś ta na całej swojej widzialnej długości gęstniała od głów wylegających z wagonów uchodźców. Sklepienie dworca znajdowało się gdzieś wysoko, wysoko – jakby sam dworzec umieszczono na dnie przepastnej, wykutej we wnętrzu góry jaskini.

Wkrótce pojawili się nawoływacze, odziani w szare mundury. „Ustać się przy swoich wagonach” – krzyczeli. „Przygotować dokumenty.” „Niech nikt nie wychodzi poza peron”. Niech nikt nie kryje się w wagonie. Niesubordynacja będzie się wiązać z surowymi konsekwencjami” – krzyczeli przez megafony.

Pełni zmęczenia po wyczerpującej podróży, zaczęliśmy się chaotycz-

nie kłębić przy budach, w których nas przywieziono. „Ustawić się na baczność” – wołano, a więc stawaliśmy na baczność w krzywych szeregach, taszcząc swój nędzny dobytek. Po chwili nadeszli kolejni mundurowi, obstawiający jakichś oficerów, którzy przystąpili do inspekcji zgromadzonych na platformie. Zapowiedziano, że każdy wagon będzie miał swojego oficera prowadzącego. Ci przechadzali się, wnikliwie oglądając każdego z nas. Niektórym nakazywali otworzyć usta; spoglądali wówczas na zęby; czasami kręcili przy tym z dezaprobatą głowami. Czasami badali oczy małymi latarkami, niektórym kazano rozebrać się do pasa. Idący za oficerem adiutant spisywał dane osobiste, sprawdzając jednocześnie ich zgodność z dokumentami. Przy każdym z nazwisk adiutant robił dodatkowe notatki, dyktowane stanowczym głosem oficera. „Stan zdrowia zadowolający” „Brak oznak poważniejszych schorzeń” „Wątła budowa ciała” „Znaczna nadwaga” „Zmiany skórne”. Ci, którzy nie mieli dokumentów, w tym najmłodsi, byli gdzieś odprowadzani przez ludzi w szarych mundurach. Jedno z dzieci, któremu człowiek w takim szarym mundurze nakazał kategorycznie przejść do szeregu tych, którzy nie mieli żadnych dowodów tożsamości, zapytało, kiedy będzie mogło zobaczyć matkę; jego pytanie zbyto milczeniem.

Oczekiwaliśmy, stojąc na baczność na dworcowej platformie długimi godzinami; ludzie w mundurach w końcu gdzieś zniknęli razem z niektórymi, odprowadzonymi przez siebie uchodźcami. Staliśmy tak godzinami w milczącym oczekiwaniu, przemarznięci i głodni.

– Co dalej? – pytali niektórzy z nas.

– Słyszałem, że mają nas spisać i skierować do odpowiednich dzielnic. Nazywają je Departamentami, podobno przygotowano tam dla nas mieszkania. – ktoś powiedział.

– Mogliby dać nam coś do jedzenia. – poskarżył się jakiś człowiek, jego głośny wyrzut wzbudził niemały aplauz; po platformie rozszedł się szmer aprobaty dla tych słów. Jednakże nic się nie działo, w końcu zmęczeni zaczęliśmy się kłaść na peronie lub w wagonach, pod zimnym spojrzeniem odległych lamp i latarni, wiszących gdzieś wysoko, wysoko, pod skrytym w ciemnościach stropem dworca.

Kiedy się obudziłem, wokół mnie było znacznie luźniej – jakby część osób gdzieś sobie poszła. Rozglądałem się po dworcu; na peronowej platformie gdzieś spali jeszcze ludzie, niektórzy zaś szwendali

się tu i ówdzie, zupełnie bez celu. Podeszedłem do jednego z nich, aby zapytać, gdzie podziła się reszta.

– Poszli szukać czegoś do jedzenia. Nikt nie przyszedł, aby nas zaprowadzić na kwatery. Rozbiegli się po mieście. – wyjaśnił mi człowiek. Jego słowa uzmysłowiły mi, że sam odczuwam wręcz bolesny głód, jako że od kolacji poprzedzającej nagły, niespodziewany exodus i trwająca w nieskończoność nocną podróż niczego nie jadłem. Pokiwałem głową i ruszyłem przed siebie.

Dworzec musiał być od dawna nieczynny; taki pierwszy wniosek nasyłał mi się na myśl, kiedy tylko zobaczyłem zdewastowane wnętrza dawnych kas i kiosków. Niszcząco nieużywane od dziesięcioleci. W środku tych oddanych rozpadowi pomieszczeń gdzieś koczowali uchodźcy, apatycznie wpatrzeni w odrapane ściany, na których zbierała się wilgoć. Szedłem wzdłuż zdającego się nie mieć końca peronu, aż natrafiłem na półotwartą bramę. Spostrzegłem, że kłódka, zamykająca jej kratę, leżała wyłamana – ktoś musiał desperacko szukać drogi wyjścia z dworca. Wszedłem w ciemny, wysoki korytarz, wiodący schodami w górę. Prowadził do wielkiej, zniszczonej hali, w której niektórzy palili małe ogniska, usiłując się ogrzać. Podeszedłem do jednego z tych małych ognisk i przysiadłem, pytając, czy mogę się przyłączyć.

– Nie mamy niczego do jedzenia. – odburknął ktoś z twarzą schowaną pod kapturem.

– Chciałem tylko usiąść przy ciepłe – powiedziałem, kryjąc rozczarowanie, jakie wzbudziły we mnie słowa tego człowieka. Nikt ani mnie nie zaprosił, ani nie przegonił, uznałem więc aprobatę milczącego towarzystwa. Po dłuższej chwili siedząca pod ścianą młoda dziewczyna powiedziała:

– Nasi poszli szukać czegoś do jedzenia, ale nie chcieli ich wpuścić do żadnego sklepu, do żadnej restauracji. Spoglądali na nich wszędzie z obrzydzeniem, po chwili przyjechała policja i wszystkich aresztowała. Zapakowali ich do ciężarówki i gdzieś wywieźli. Jedynie on – powiedziała wskazując na mężczyznę w kapturze – uciekł. To było jakieś parę godzin temu.

– Czy ktoś z tutejszych służb mówił, co mamy robić? – zapytałem.

– Powiedzieli, że mamy siedzieć na dworcu i czekać, aż po nas przyjadą i zawiozą do odpowiednich Departamentów miasta. – odparła dziewczyna.

– Jak na moje, to oni nigdy nie przyjadą i nigdzie nas nie zawiozą. Przecież straż obstawia główne wyjścia z dworca i trzeba było szukać innych dróg. To jest olbrzymi dworzec, ale od dawna nie używany. Jesteśmy zdani na siebie. – wycedził mężczyzna w kapturze.

– Wiecie, dlaczego nas ewakuowano? – zapytałem.

– Podobno w kopalniach pod miastem zapaliły się złoża węgla i w niektórych dzielnicach spod ziemi zaczął dobywać się trujący dym. Jakieś toksyczne opary. Ale to jest plotka, nie widziałam niczego takiego. – powiedziała dziewczyna.

– Po prostu chcieli zabrać nasze domy i nasz dobytek. – powiedział mężczyzna.

– Kto chciał zabrać? – zapytałem.

Mężczyzna milczał, wpatrując się w ogień.

– Jeżeli niczego nie zjem, nie będę mieć mleka. – odezwała się nagle milcząca do tej pory postać, owinięta brudnym kocem. Spojrzałem w jej stronę; miała smutną twarz, pod którą widniała druga, niespokojnie śpiąca twarzyczka niemowlęcia.

– Do sklepów nas nie wpuszczają, nie chcą przyjmować naszych pieniędzy. Mówią, że nie mają dla nich żadnej wartości. Że pewnie są fałszywe i będą z tego same problemy. – poinformowała dziewczyna.

– To co w takim razie mamy robić? – zapytałem.

– Muszę coś zjeść, wypić coś ciepłego. Nie dla siebie, dla niej. Ma zaledwie kilka tygodni. – powiedziała kobieta z niemowłkiem na rękach.

Obiecałem, że znajdę coś do jedzenia i poszedłem. Po jakimś czasie, w którym przebijałem się przez biegnący w górę labirynt korytarzy i hal, zaludnionych przez uchodźców, udało mi się wreszcie wyjść na ulicę. Był dzień, ale nisko wiszące chmury i wysokie mury odcinały dopływ światła; miasto tonęło w półmroku. Chodnikami sunęli milczący przechodnie. Spoglądali na mnie z odrazą, ostentacyjnie okrążali, wstrzymując oddech. Dostrzegłem niewielki sklepik spożywczy i rażym krokiem skierowałem się w jego stronę, jednakże ekspedientka, widząc mnie, szybko zamknęła drzwi i przekreśliła klucz w zamku. Kiedy podszedłem do drzwi, kategorycznie pokręciła głową. Ruszyłem dalej. Kiedy szedłem powoli ulicą, zdawało mi się, że słyszę złowrogie szepty przechodniów. „Przynosicie zarazę.” „W kanałach pod miastem rozpanoszyły się szczury”. „Przywlekliście waszą nędzę razem z sobą”. „Nie chcieli was nawet w waszym własnym domu.” Na mój widok sklepi-

karze zamykali drzwi, restauratorzy chowali w popłochu wywieszony menu. Pełen wzbierającego wstydu, chciałem odwrócić się i szybkim krokiem wrócić w podziemia, ale w tym momencie poczułem uderzenie w plecy i czyjeś silne ręce, obalające mnie na ziemię.

– Nie ruszać się! – wysyczał głos za mną.

– Mówiono wam, że macie siedzieć na dworcu, póki się wami nie zaopiekujemy. – powiedział ktoś drugi.

– Jesteśmy głodni! – niemal wykrzyczałem.

– Wy wiecznie jesteście głodni. Tylko żreć chcecie. Żreć i mnożyć, żreć i wydalać, zasrać cały świat waszym gównem i waszym potomstwem. – odparł pierwszy głos.

– Jedziesz na komisariat, tam zadecydujemy co z tobą robić. Nie mamy pojęcia, kto i dlaczego zechciał was przyjąć. Same problemy z tego. – kontynuował.

– Tam, na dole, jest kobieta z niemowlęciem. – powiedziałem przez zęby. Jest bardzo słaba i jej dziecko też jest słabe. Musi coś zjeść. Dajcie jej coś zjeść. – prosiłem, przełamując rosnące wewnątrz upokorzenie.

– Wy tylko żreć chcecie. Żreć, żreć, żreć. – odparł głos bez twarzy, głos zza moich pleców. Następnie poczułem tylko tępy ból z tyłu głowy, po którym półmrok miasta przeistoczył się w całkowitą ciemność, w którą zapadłem się jak w głęboką studnię.

Obudziłem się w olbrzymiej sali, skapanej w mdłej poświacie zamontowanych wysoko jarzeniówek. Obok mnie leżeli inni uchodźcy. Ktoś uderzał otwartą dłonią w stalowe, ciężkie drzwi i krzyczał, aby natychmiast go wypuścić.

– Co to za miejsce? – zapytałem osobę leżącą obok.

– Areszt. Nie wiesz? – odparła.

– Jak długo tu zostaniemy?

– Nikt nam niczego nie mówi. Ale chodzą plotki, że jak sytuacja się uspokoi, przewiozą nas do naszego Departamentu, podobno przygotowano dla nas domy.

– Gówno prawda. – wysyczałem.

– Skąd wiesz? – zapytała osoba z drżeniem w głosie.

– Nie wiem, przypuszczam. – powiedziałem ze wzruszeniem ramion.

– Do tej pory nie spotkało nas tu nic dobrego. – uzupełniłem.

– Może nie byli przygotowani. Podobno mają nam oddać całe dolne miasto. – mówiła osoba. Do rozmowy włączył się ktoś inny.

– Też to słyszałem. O dolnym mieście. Są tam całe, bezludne dzielnice. Mają nam je oddać. Są na najniższym kręgu pod murami; kiedy miasto pięło się ku górze powoli się wyludniały, ponieważ wysokie mury zabierały zbyt dużo światła. Są tam piękne, zabytkowe kamienice.

– Dali wam coś do jedzenia? – zapytałem.

– Tak. Za godzinę znów dadzą jakiś posiłek. Załapałbyś się na poprzedni, ale bardzo mocno spałeś. – powiedział drugi rozmówca.

– Obok dworca spotkałem matkę z małym dzieckiem, obiecałem przynieść im coś do jedzenia.

– Nie musisz się bać. – uspokoił mnie jeden z uchodźców – Wczoraj wszystkich z dworca ewakuowano, podobno wreszcie dostali jeść.

Istotnie, po godzinie do sali weszło kilku mężczyzn, niosących wielkie wiadra, kosze i zestawy plastikowych talerzy. Milcząc, stalowymi chochlami nalewali z wiader na talerze gęstą breję, do której wkładali po kromce chleba. Wszyscy siedzieli cierpliwie na posadzce, oczekując na swoją kolej. W końcu przyszedł i do mnie. Głód sprawił, że nie zwracałem uwagi na kolor i zapach jedzenia, nie przeszkadzał mi też suchy chleb, kaleczący dziąsła przy każdym kęsie.

– Czy ktoś wie, co się stało w naszym mieście? – głos z środka sali wybił się nagle pośród szmeru cichych, urywanych rozmów prowadzonych przez jedzących łapczywie ludzi.

– Nie. – odparł ktoś inny – Jest pełna blokada informacyjna. Nie działają linie telefoniczne, podobno już na dziesiątki kilometrów od miasta zamknięto wszystkie drogi. Nikt, poza władzami, nie ma pojęcia, co takiego się tam wydarzyło.

– Skąd wiesz? – zapytał jakiś głos z sali.

– Mam znajomych tu i ówdzie. – odparł informator. – Ale oni też niewiele wiedzą; wszyscy są zdezorientowani. Podobno poganiacze, którzy wyprowadzali nas z łóżek również nie wiedzą o niczym; dostali bardzo wyraźne rozkazy, aby natychmiastowo ewakuować miasto, jednakże im również niczego nie wyjaśniono. Rozkaz to rozkaz, trzeba było wykonać. – zakończył sentencjonalnie.

– Więc dlaczego przewieziono nas tutaj? Przecież to bardzo daleko, inne miasta były bliżej. – zapytał siedzący obok mnie mężczyzna.

– Nie mam pojęcia. – odparł informator. – Podobno dlatego, że są tu całe, niezamieszkałe dzielnice i tylko tutaj można było nas zakwate-

rować. – uzupełnił, powtarzając znane już powszechnie domniemania i plotki. Poza tym, to stolica.

Rozmawialiśmy tak, wymieniając uwagi o sytuacji, w jakiej się znaleźliśmy i oczekując na jakiegokolwiek decyzje w naszych sprawach, aż po jakimś czasie otworzyły się drzwi i do środka wszedł oddział odzianych w szare mundury ludzi pod dowództwem wysokiego rangą oficera.

– Zamknęliśmy was tutaj ze względu na waszą niesubordynację. – zaczął oficer. – Prosiliśmy tylko o to, abyście usiedzieli na miejscu i zaczękali chwilę, zaś wy rozpierschliście się po mieście jak sfora bezpańskich psów. Zawiedliście nasze zaufanie, jakie okazaliśmy, nie wysyłając uzbrojonych straży na dworzec.

Po sali rozszedł się szmer, dało się wyłović w nim kilka ironicznych westchnień i parsknięć.

– Nie wysyłając licznych uzbrojonych straży na dworzec. – poprawił oficer, lekko zmieszany. Jednakże szybko odzyskał rezon i przeszedł do kontrataku:

– Przypominam, że jesteście tu gośćmi, a goście muszą stosować się do praw gospodarzy. Wyciągnęliśmy do was rękę w potrzebie, a wy na dzień dobry zaczynacie tę rękę kasać. Przez takich jak wy opóźniły się wszystkie procedury dla tych, którzy cierpliwie czekali na dworcu, bo musieliśmy wysłać ludzi do ściągania was z ulic zamiast do przesiedlania was. A teraz przekazuję informacje z Zamku: dostaniecie dach nad głową, postaramy się was wykarmić do czasu, aż sytuacja w waszym regionie ulegnie poprawie, ale musicie być posłuszni. Bezwzględnie posłuszni. Pierwsza i jedyna zasada: nie robić nic wbrew naszym zaleceniom i rozkazom. Otrzymujecie mieszkania w opuszczonych dzielnicach dolnego miasta i pod żadnym pozorem nie wolno wam stamtąd wychodzić. Będziemy tego z całą surowością pilnować, bo już nie mamy do was zaufania. Jest was dużo, wykarmimy was, ale nie możemy tego robić ot tak, jedzenie kosztuje. Zostaniecie skierowani do pracy, my zdecydujemy, jaka to będzie praca. Ci, którzy już na wstępie pokazali, że mogą stanowić problem – mówię o was – zostaną skierowani do odpowiednio cięższych prac. Ciężka praca dyscyplinuje, a dyscyplina to podstawa waszego pobytu tutaj. Skończyłem, czy ktoś ma jakiegokolwiek pytania?

Niemal natychmiast oficera zalała rzeka przekrzykujących się gło-

sów, wymachujących rąk, którymi pytający usiłowali zwrócić na siebie uwagę. Żołnierz wyłuskiwał przez chwilę powtarzające się pytania i odpowiadał: „Nie mogę powiedzieć, co się wydarzyło. To tajne.” „Nie mogę powiedzieć, jak długo tu zostaniecie.” „Nie odpowiadam na pytania o członków waszych rodzin.” „To nie wasza sprawa.” Jeszcze chwilę trwał gwar pytań, ale oficer tylko kiwnął głową, po czym razem ze swoimi podkomendnymi opuścili salę. Godzinę później przyszli żołnierze i zaczęli nas wyprowadzać grupami do wielkiego garażu, w którym czekały na nas ciężarówki. „Jedziecie do swojej dzielnicy.” – powtarzał co chwila nadzorujący wywóz człowiek. Przy pace każdej z ciężarówek stał, w towarzystwie żołnierza, urzędnik, który wsiadającym wręczał jakieś kartki. Kiedy przyszła moja kolej i w końcu znalazłem się w dusznym, ciemnym wnętrzu ciężarówki, spojrzałem na swoją kartkę. Zawierała, obok potwierdzenia moich danych osobowych, przydział do pracy przy oczyszczaniu kanalizacji w dolnych poziomach miasta wraz ze wskazaniem godziny i miejsca, w jakie należało się stawić.

Jechaliśmy bardzo długo przez wąskie tunele, skąpo oświetlone zawieszonymi pod sklepieniem lampami. Był tylko warkot silnika, milczenie i przetykana punktami światła ciemność niekończącej się drogi.

Kiedy nas wysadzili, okazało się, że zostaliśmy zakwaterowani – wszyscy mieliśmy stanować brygadę pracującą przy oczyszczaniu kanałów – w starym hotelu robotniczym, który z zewnątrz bardziej przypominał opuszczoną fabrykę niż miejsce, w którym mieszkają ludzie. Zmrok zapadł już nad miastem; wysoko, nad murami dolnego miasta i nad domami górnego miasta, przetaczały się ciężkie chmury, a aura wieczoru zabarwiała wszystko zimnym, ziemistym kolorem. Po ulicy walały się śmieci – strzępy gazet, opakowania po żywności, butelki, kartony, sterty szmat i zużyte artykuły higieniczne. Dzielnica, jak okiem sięgnąć, przypominała jeden wielki śmietnik, kloakę górnego miasta, do którego kategorycznie zabroniono nam wchodzić. Nad wszystkim górował zamek, skąpany w opadających nisko chmurach, przyczajony niczym pajak, obserwujący drgania much zaplątanych w sieć.

Odprowadzono nas do obszernych, zimnych sal, w których ustawiono długie rzędy piętrowych łóżek. Urzędnik, ochraniający przez uzbrojonych w karabiny żołnierzy, wyczytywał kolejne nazwiska i wska-

zywał numer przypisanej pryczy. Następnie, kiedy wszyscy już stali przy swoich posłaniach, obwieścił, że z pryszniczy możemy korzystać raz dziennie – wieczorem, kiedy skończymy pracę, woda miała być odkręcana. Stołówka będzie czynna rano i wieczorem, posiłek w środku dnia zostanie nam doręczony na miejsce pracy. Mamy do wykonania plan i od wykonania planu zależy, czy wrócimy na czas do naszych kwater. Będziemy pracować tak długo, aż wykonamy dzienny plan. „Takie są zasady waszej pracy.” – mówił suchym, beznamiętnym głosem. Następnie polecił się nam wykapać; ustawiono nas w dwójkach (osoby zajmujące jedno piętrowe łóżko) i odprowadzono do obszernej łaźni. Pomieszczenie było zdewastowane, stare płytki opadały ze ścian, a z nieszczelnych łączeń rur kapiała rdzawa woda. „Macie pół godziny” – zapowiedział jeden z żołnierzy.

Po upływie tego czasu woda przestała płynąć, po rurach rozszedł się jedynie drażniący ryk powietrza, wprawiający w drgania wątle ściany budynku. Mokrych, niedomytych, wręcz brudnych od zanieczyszczonej rdzą wody, odprowadzono na stołówkę, gdzie wojskowi wydawali tę samą pulpę z suchym chlebem, jaką poczęstowano nas w areszcie; do tego przewidziano kubek wody. „Macie piętnaście minut” – zapowiedział inny żołnierz. Po piętnastu minutach żołnierze zaczęli zabierać naczynia; jednakże ze względu na głód wszyscy zdążyli spożyć swoje posiłki. Okrzykami wygoniono nas ze stołówki i zapędzono do sypialni, po czym nakazano natychmiast położyć się spać. Według ściennego zegara wiszącego nad wejściem, do planowanej pobudki mieliśmy jedynie kilka godzin i było konieczne, aby wykorzystać je na sen.

Jednakże nie mogłem zasnąć. Wpatrywałem się w sufit z mojej górnej pryczy. Starłem się nie wiercić, nie wzbudzać skrzypienia w stalowej ramie łóżka, w jego starych sprężynach, ale uzmysłowiwszy sobie, że przecież całą salę wypełnia jedynie zmasowane, spiętrzone chrapanie wielu zmęczonych gardeł, zacząłem niespokojnie, w obawie przed bezsennością, wiercić się na posłaniu.

– Też nie mogę spać. – powiedział nagle szeptem człowiek, leżący na dole. Wcześniej zdążyliśmy się sobie przelotnie przedstawić.

– Boję się, że w ogóle nie zasnę. – odparłem, również szepcząc.

– Kim byłeś wcześniej? – zapytał.

– Byłeś? Wcześniej? – odpowiedziałem pytaniami na pytanie.

– Zanim nas ewakuowano i przywieziono tutaj. – sprecyzował mój sąsiad.

– Pracowałem w bibliotece, w archiwum.

– Ja rozwoziłem przesyłki. Jestem kurierem.

– Byłeś kurierem. – poprawiłem.

– Myślisz, że wrócimy do naszego miasta? – zapytał.

– Nie wiem. Nie mam pojęcia. – odrzekłem, zgodnie z prawdą.

– Rozdzielono mnie z żoną. Nie mam pojęcia, gdzie jest. Nikt nie chce mi niczego powiedzieć. Złapali mnie, gdy wyszedłem z dworca, aby jej poszukać. Obiecali, że będą łączyć rodziny. Masz tu kogoś?

– Nie, nie mam. Jestem sam.

– Tobie to dobrze, nie musisz się martwić o nikogo bliskiego. – westchnął. – Ile bym dał, żeby wiedzieć, gdzie jest moja żona. Boję się o nią. Zawsze polegała na mnie, we wszystkim, a teraz została sama w tym tłumie. Nie wiem, jak sobie radzi. Czy ma kogoś do pomocy. – kontynuował człowiek.

– Może jeszcze robią spis, przyjechało nas przecież bardzo dużo. Pewnie niebawem wszystko się wyjaśni. – pocieszałem go. Przez chwilę milczał, pomyślałem nawet, że usnął. Jednakże po chwili zaczął mówić:

– Dowiadywałem się trochę o tych kanałach, w których mamy pracować. W ciężarówce spotkałem człowieka, który interesował się trochę historią tego miasta, pisał nawet na jego temat jakiś artykuł do gazety. Miasto zbudowano kiedyś wokół góry, wokół ostro wznoszącego się szczytu, który jest geologiczną anomalią, gdyż znajduje się pośrodku zupełnej równiny. Nikt nie wie, jak powstał i kiedy powstał. Pierwsze domy wznoszono u podnóża góry, okalając wszystko murami. Ale im bardziej miasto się zaludniało, tym wyżej stawiano kolejne domy. Miasto nie rosło za murami, rosło wzwyż. W skałach wykuwano platformy, na których dało się postawić budynki, zaś u samego szczytu wzniesiono zamek; warownię nie do zdobycia. Z upływem stuleci góra obrastała w kolejne kręgi, metodycznie podnoszono wysokość murów, aż w końcu w pierwszych, najstarszych dzielnicach miasta zaczął panować wieczny półmrok. Ludzie przeprowadzali się wyżej, budując kolejne domy, aż w końcu dotarli do bariery wyznaczonej przez mury zamku. W ten sposób obudowano całą górę; zajęło to stulecia, bo góra jest olbrzymia. Aby umożliwić mieszkańcom funkcjonowanie w mieście, jego władcy, rezydujący na zamku, nakazali w środku góry wydrążyć tunele – kanały, którymi nieczystości mogłyby spływać pod ziemię. Obok kanałów bu-

dowano też tunele, setki kilometrów tuneli przecinających się na wielu poziomach; robotnicy wykuwający te tunele praktycznie żyli pod ziemią, we wnętrzu góry. Podobno z zamku przyszło tajne polecenie, aby wykuć także korytarz łączący komnaty z równiną, tak aby warownia nie do zdobycia nie zamieniła się w pułapkę bez wyjścia. To było bardzo dawno, setki lat temu; od tamtej pory miasto się nie zmieniło, jedynie wyburzano stare domy w dolnym mieście, aby wznieść tam infrastrukturę przemysłową. Ale nie ma dokładnej mapy tych wykutych w górze chodników. Nikt, nawet władarze zamku, pomimo wieloletnich badań, na które wydano fortunę, nie znają dokładnego planu tego labiryntu, na którym żyją miasto i oni sami. Myślę, że każą nam po prostu badać teren.

– Nie wiedziałem, że istnieje tu taki labirynt. – odpowiedziałem.

– Przez duże L. Nie koniec na tym. – wciąż szeptał mój rozmówca – Krażą legendy o tym, że górnicy, którzy drążyli korytarze, nigdy nie wyszli już na zewnątrz. Wnętrze góry stało się ich domem; żyli w niej ze swoimi rodzinami, płodzili dzieci, przystosowując się z upływem lat do życia w ciemnościach. I ich dzieci nigdy nie znały słońca, nie znały zapachu świeżego powietrza. Ten brak światła, ta ciasnota, sprawiły, że ludzie zamieszkujący górę wyrodniali. Najśłabsze dzieci umierały, podobno we wnętrzu góry można znaleźć cmentarzyska, spiętrzone stosy małych szkieletów. Te, które przeżyły, wyrodniały dalej, wraz z kolejnymi pokoleniami, do postaci dziwnych, humanoidalnych stworzeń. Odciawszy się od cywilizacji na zewnątrz, stworzyły własną, mrówczą cywilizację; ich istnienie jest tabu dla tutejszych mieszkańców. Czasami tylko – człowiek, który mi to powiedział, spędził tu trochę czasu i wypytywał miejscowych o te legendy – z wnętrza góry, tam, gdzie skały są cieńsze lub lepiej przewodzą dźwięk – dochodzą dziwne, nieludzkie odgłosy. Dlatego nikt nie chce pracować w kanałach, choć oczywiście legenda o górnikach nie jest niczym więcej niż tylko legendą – tunele są puste, a te dziwne odgłosy to po prostu prądy powietrza hulające po korytarzach niczym powietrze w organach. W każdym razie, trafiliśmy się im jak los na loterii.

– Wiesz, dlaczego miejscowi wpatrywali się w nas z taką odrazą? – zapytałem. – Skąd ta pogarda, z jaką nas tu przyjęto.

– Nie wiem. – odparł mój sąsiad. – Może to jakieś dyspozycje Zamku. Ale i tak jesteśmy winni im wdzięczność za to, że nas przyjęli. Mogli odmówić, słyszałem, że w innych miejscach odmówili. Tylko oni nas

chcieli.

Mój sąsiad mówił jeszcze chwilę, ale jego słowa nie docierały już do mnie, gdyż olbrzymie zmęczenie, które dopiero teraz uwolniło się z oków napięcia i ciągłego niedowierzania, powoli kołysało mnie do snu.

Przytomność wróciła mi dopiero w ciężarówce, którą wieziono nas na miejsce robót; uzmysłowiłem sobie, że musiałem, wyrwany z sennych otchłani przez krzyk żołnierzy, zupełnie mechanicznie, nieświadomie, ubrać się, zjeść śniadanie i ustawić z moim sąsiadem z piętrowej pryczy w szeregu na rampie załadunkowej, prowadzącej na pakę ciężarówki. Niektórzy przecierali jeszcze zaspane oczy.

– Obudzili nas godzinę wcześniej. – powiedział z wyrzutem siedzący naprzeciw mnie człowiek. Mój sąsiad pokiwał głową.

– Też mi się tak zdaje.

– Dobrze, że dali śniadanie. – rzucił ktoś inny.

– Mam nadzieję, że wieczorem będzie lepsza woda niż ten ściek wczoraj. – wysyczał człowiek, którego twarzy nie byłem w stanie dostrzec.

Jechaliśmy długim, ciemnym tunelem; droga okazjonalnie przebijała się na otwartą przestrzeń miasta; jednakże to było skąpane w szarej, porannej mgle i półmroku, więc nie widzieliśmy niczego, poza sugestiami kształtów zabudowań, ich twardych brył.

W końcu wjechaliśmy w kolejny tunel i podróżowaliśmy nim już do samego końca. Kiedy schodziliśmy z paki, czekający na miejscu żołnierze wręczali nam łopaty i kilofy. „Tylko bez wygłupów z tymi kilofami” – grozili. Następnie ustawiono nas w szeregu. Z zaparkowanego pod jedną ze ścian samochodu wyszedł jakiś oficer i podszedł do naszej grupy.

– Macie do odgruzowania korytarze oznaczone numerami 221, 230 i 231. Wszystkie się rozgałęziają – każda kolejna odnoga jest oznaczana kolejną literą alfabetu. Korytarze mogą być ze sobą połączone przejściami – te oznaczamy cyframi rzymskimi. Kombinacja numeru głównego, litery i cyfry rzymskiej pozwala się wam zorientować, w którym miejscu się aktualnie znajdujecie. Korytarze, które się łączą, zyskują nowy numer jako nowy korytarz. Komory oznaczamy dużą literą alfabetu i numerem głównego korytarza, który do nich prowadzi. Wiemy, że każda komora ma tylko jeden główny korytarz. Mniejsze koryta-

rze wychodzące z komór traktujemy jako odnogi głównych korytarzy, aż nie złączą się z innymi – wtedy numeracja jest wprowadzana według przyjętej metodologii. Wasze zadanie to systematyczne odgruzowywanie korytarzy. Stanowią one kanały i po oczyszczeniu popłyną nimi ścieki, które obecnie przeciążają drożne przepływy. Miasto każdego roku produkuje coraz więcej ścieków i nieczystości, więc należy zwiększyć wydajność systemu kanalizacyjnego. Na każdy dzień przewidziany jest plan do wykonania. Nie odjedziecie stąd, jeżeli praca nie będzie zrobiona. W ten sposób możecie przegapić waszą kolację i kąpiel. Praca każdego jest rozliczana indywidualnie, ale jeżeli jeden z członków brygady nie zrealizuje stawianych przed nim na dany dzień zadań, uznajemy, że cała brygada nie wywiązała się z powierzonych obowiązków i wszyscy będą czekać tak długo, aż ostatni z nich zrealizuje swój plan. Jeden z was zawali – przegłoduje cała grupa. To was zmobilizuje. Jeżeli ktoś z was nie będzie mógł wykonać swojej pracy, musi osobiście powiadomić waszego strażnika. Obowiązki tej osoby są przejmowane przez resztę brygady. Co do osoby nie mogącej zrealizować planu, to specjalna komisja będzie orzekać, czy podane przyczyny były wystarczające dla niezrealizowania założeń i wyciągać ewentualne konsekwencje. Około południa dostaniecie obiad; macie na niego pół godziny, ale tylko od was zależy, czy poświęcicie ten czas na jedzenie, czy na pracę. Plan macie wymagający, więc bierzcie się do roboty. Natychmiast! – krzyknął wściekle oficer.

Ruszyliśmy przed siebie, w ciemność rozjaśnianą żółtym światłem starych lamp. W korytarzach stały wózki na gruz. Podzieliliśmy się pracą – jedni ładowali materiał, drudzy wypychali wózki w przewidziane miejsce i wysypywali ładunek. Stamtąd zbierała go ogromna wywrotka. To ciężarówki były miarą naszej pracy – aby uznać realizację planu, musieliśmy w ciągu dnia odprawić na wysypisko poza miastem trzy takie pojazdy. Pracowaliśmy na zmianę – raz jedni ładowali gruz, raz drudzy, raz jedni pchali potwornie ciężkie wózki, raz drudzy. Kiedy nadeszła pora obiadu, mieliśmy załadowane zaledwie jedną trzecią pierwszej ciężarówki. Zjedliśmy na stojąco, połykając byle szybciej ogromne kęsy, poganiając się wzajemnie pod zimnymi spojrzeniami strażników w szarych mundurach. Ale nasz pośpiech i wysiłek był daremny – kiedy dzień (czy można mówić o dniu i nocy, jeżeli pracuje się w ciemnościach?) roboczy miał się ku końcowi, ledwie udało nam się

skończyć ładowanie drugiej ciężarówki.

– Zapomnijcie, że stąd pojedziecie. – wysyczał strażnik, wymachując karabinem. – Macie zrobić jeszcze jedną ciężarówkę.

– Stracimy kolację. – mówili niektórzy.

– To pracujcie szybciej. – odpowiadali.

– Nie mamy już siły. Ta norma jest nie do wykonania. – oponowali.

– Jesteście leniwi i zgnuśniali, ale praca was zahartuje. – mówili pilnujący nas żołnierze.

A więc padając ze zmęczenia ukończyliśmy wreszcie późną nocą ładować trzecią ciężarówkę; jednakże jej kierowca pojechał już dawno do domu i plan został uznany za niewykonany. Żołnierze z drugiej zmiany warty wyzywali nas; lżyli wszystkimi znanymi sobie obelgami, że z naszej winy muszą tu siedzieć tak długo.

Nie jestem w stanie powiedzieć, kiedy umarł pierwszy z nas – dni spędzane pod ziemią, w tunelach dolnego miasta, w noclegowni, na pace ciężarówki; dni spędzane w pełnym wyczerpania milczeniu, gdzie jedyne rozmowy służyły coraz sprawniejszej organizacji katorżniczej pracy, zlewały się w jedną breję; bezkształtną i obrzydliwą jak masa, którą nas codziennie karmiono. A zatem, być może stało się to po kilku dniach, a może po miesiącu; to nie jest ważne. Znaleźliśmy tego człowieka w jednej z odnóg któregoś z korytarzy – zimnych i ciemnych, albowiem nie mogliśmy się doczekać na założenie w nich oświetlenia i jedyna jasność dobywała się z naszych latarek czołowych i pochodni, które byliśmy zmuszeni zapalać, zmniejszając tym samym ilość dostępnego nam tlenu. Mężczyzna leżał na brzuchu; z początku myśleliśmy, że zmęczony postanowił się zdrzemnąć, ale kiedy nie zareagował na budzenie, uzmysłowiliśmy sobie, że właśnie jeden z nas nie będzie w stanie wykonać swego planu i pozostało nam jedynie przejąć jego obowiązki. Pracowaliśmy wściekle, bez wytchnienia, maltretując własne organizmy, a wszelkie odruchy buntu tłumiły w mig otchłanie wymierzonych w nas luf karabinów. W międzyczasie dołożono nam jeszcze jedną ciężarówkę do załadowania. Ponieważ udało nam się w końcu osiągnąć efektywność trzech wywrotek dziennie, władze na Zamku, o czym zawiadomił nas komunikatem oficer, uznały, że można nam podnieść normę; gdyż wypełnianie przez nas dotychczasowej w przewidzianym czasie oznaczało, że możemy pracować jeszcze wydajniej. Jeszcze szybciej i jeszcze bar-

dziej efektywnie. Później umierali następni. A im więcej nas umierało, tym szybciej i wścieklej pracowaliśmy, jakby tylko śmierć była zdolna przynieść ulgę członkom obolałym niekończącym się wysiłkiem.

Pewnej nocy, kiedy leżeliśmy na naszych pryczach, wyczerpani niekończącą się pracą, mój sąsiad powiedział cicho:

– Moja żona nie żyje.

– Skąd wiesz? – zapytałem, szczerze przejęty.

– Miałem ze sobą piękny zegarek. Oddałem go jednemu ze strażników, który obiecał się czegoś dowiedzieć. Podałem mu jej imię, nazwisko i opisałem, jak wygląda. Przez kilka dni się nie odzywał i uznałem, że mnie oszukał. Ale dziś podszedł i powiedział, że moją żonę zatrudniono w oczyszczalni ścieków, w wydziale utylizacji odpadów organicznych przy ręcznej segregacji. Razem z wieloma innymi kobietami brodziła po pas w gnojówce spływającej z górnego miasta, wylawiając zwarte odpady, odtykając filtry. Po paru dniach źle się poczuła, okazało się, że wdała się infekcja. Ale nie zwolniono jej z pracy, ponieważ Zamek nie przyjmuje rezygnacji z posad, na które nas skierowano; mówią, że tak zarabiamy na swój chleb. W pewnym momencie – tak mówiły inne kobiety, które tam pracują – przewróciła się; zdążyli ją wyciągnąć ze zbiornika, ale organizm był już tak strawiony chorobą, że po paru godzinach umarła. Wiesz, one tam padają jak muchy; pracują bez żadnych zabezpieczeń w wodzie w której mieszają się fekalia, odpady chemiczne i bogowie wiedzą co jeszcze. Kiedy umierają, żołnierze zabierają ciało i wrzucają na stertę wysegregowanych przez nie wcześniej odpadów do spalania i wywożą do spalarni. Podobno ta spalarnia działa również jako główna ciepłownia – ogrzewa domy górnego miasta. Tak powiedział mi strażnik. Może kłamał, może chciał ze mnie zakpić zabrawszy mi wcześniej jedyny cenny przedmiot. Cały czas się uśmiechał, kiedy mi to mówił. Może żartował.

– Tak czy inaczej, przykro mi. – wybełkotałem, słysząc, jak z pryczy poniżej dochodzi tłumione łkanie.

– Słuchaj... – wyszeptał, przełamując płacz – ...jeżeli to prawda, to nie mam nic do stracenia. Ale nie wiem, czy to prawda. To jest najgorsze, wiesz? Że nie wiem, czy mam jeszcze coś do stracenia. Gdybym wiedział, gdybym miał całkowitą pewność, że nie, to postawiłbym wszystko na jedną kartę. Przez mury, przez bramy, nie można się przedostać, są zbyt dobrze strzeżone. Dworzec, tory kolejowe też. Ale tunele,

w których pracujemy, prowadzą bezpośrednio do Zamku. To skomplikowany labirynt, ale jeżeli znajdzie się już drogę wiodącą bezpośrednio do Zamku, to sytuacja staje się nagle bardzo prosta – to droga ewakuacyjna. Można nią iść w dwie strony – do wnętrza Zamku lub na równinę. Od pewnego czasu zbieram chleb. Gdybyś zaczął go zbierać teraz, za jakiś czas mielibyśmy dość prowiantu, aby spróbować stąd uciec. Bo wiem już, że nigdy nie wrócimy do naszego miasta, do naszego dawnego życia. Ono już nie istnieje. Nie ma go, przepadło. Ale nie możemy umrzeć tutaj, paść jak jakiś kawałek ścierwa. Nie chcę umierać w tym mieście. Zabrano mi wszystko, co miałem.

– Ale być może ten strażnik cię okłamał? – zapytałem. – Może z twoją żoną wszystko w porządku, tylko ten człowiek chciał cię upokorzyć?

– Nie wiem. Nie wiem. Nikt z nas nie dowiedział się niczego o swoich bliskich. Nie połączono jeszcze ani jednej rodziny. Nikt nie wie, gdzie podziały się dzieci, po ewakuacji z dworca do Departamentu wszystkie gdzieś wywieziono. – wyszeptał mój sąsiad.

– Jest nas dużo. Gdybyśmy zabrali strażnikom broń... – powiedziałem, obniżając głos do progu słyszalności. Miałem wrażenie, że wszechobecne chrapanie ucichło, jakby nagle cała sala zaczęła się przysłuchiwać naszej rozmowie.

– Zapomnij o tym. Ten, z którym rozmawiałem, powiedział, że jeżeli spróbujemy czegoś nierozważnego, to konsekwencje poniesie jakaś inna grupa. Mówił, że nie ma występku bez kary; jeżeli jest występki, to jest i kara, że kara to istota przywoływana do życia występkiem i nie ma znaczenia, kto zostaje ukarany – ta istota musi zostać należycie nakarmiona, a ma bardzo duży apetyt. Tak powiedział.

– Jeżeli uciekniemy, mogą ukarać całą grupę. – zauważyłem.

– Nie. Pomyśl, tylu naszych już zaginęło w tych przeklętych tunelach. Nikt ich nie szuka, bo wiedzą, że nie mają szans. Sami już prawie nie reagujemy na widok zwłok tych, którzy padli z wycieńczenia. Czasami trupy leżą całymi dniami. Nikt nawet nie zareaguje. Liczy się tylko plan. Tak długo, aż odjeżdżają ciężarówki z gruzem, tak długo władze Zamku są zadowolone.

– Zamek, Zamek... – wyszeptałem.

– Nawet obywatele górnego miasta nie mają do niego wstępu – powiedział mój towarzysz. – Nikomu nie wolno tam wchodzić, tak jak nam nie wolno opuszczać dolnego miasta. Bramy są zawsze zamknięte, a tutejsze wojsko odbiera rozkazy przez telefon. Podobno, jeżeli ktoś

awansuje na posadę w Zamku, musi się przeprowadzić w obręb jego murów. Tylko nieliczni dostępują tego zaszczytu, bo pracę w Zamku podobno dostaje się dożywotnio i tylko śmierć pracownika uruchamia proces rekrutacyjny. W każdym razie, jedyna droga do jego wnętrza wiedzie przez tunele, ale ludzie z górnego miasta się tam nie zapuszczają.

– Droga przez tunele musi być zatem strzeżona. – powiedziałem.

– Ale nikt nie zna dokładnej mapy tych korytarzy. Być może istnieją ścieżki pozwalające ominąć punkty kontrolne.

– My ich nie znamy. – powiedziałem, kręcąc głową, czego mój rozmówca oczywiście nie widział.

– Nie chcę iść do Zamku, chcę stąd uciec. – powiedział mój sąsiad.

– Być może tam wiedzą, co się stało z naszym miastem. – wyszeptalem.

– I co ci przyjdzie z tej wiedzy?

– Po prostu uważam, że powinniśmy znać prawdę.

– I co z tą prawdą zrobisz, co? Jak ją wykorzystasz? Do czego jej użyjesz?

– Nie wiem.

– Prawda nie ma już znaczenia, liczy się tylko to, że nasz dawny świat przestał istnieć i po tym, co przechodzimy tutaj, nie ma żadnej nadziei na to, że on wróci na swoje miejsce. Jakie ma zatem znaczenie powód, dla którego ten świat przestał istnieć? Wojna i przestroga przed kolejnymi? Ludzkość zawsze uważa, że największe barbarzyństwo już za nią, że lekcja okrucieństwa jest szczepionką przeciwko dalszemu okrucieństwu, ale po chwili ta sama cywilizowana ludzkość, uważająca, że nieodwołalnie odrobiła swoją lekcję, popełnia jeszcze większe okrucieństwo – tylko że dochodzi do niego innymi ścieżkami. To wynika ze statystyki, z prawa prawdopodobieństwa – zdarzenia skalę większą od poprzednich są nie tylko prawdopodobne, są po prostu konieczne. Nasz świat przestał istnieć, rozpadł się na kawałki tamtej nocy, kiedy wygoniono nas z łóżek; dla trupa nie ma żadnego, choćby najmniejszego znaczenia co go zabiło, trupy się nie skarżą, trupom wszystko jedno. Dla nas, pogrobowców, również nie ma to znaczenia, bo niczego nigdy nie powstrzymamy i jeżeli historia zechce się powtórzyć, to się po prostu powtórzy. Tymczasem trzeba żyć, żyć, a prawda nie ocala, bo prawda nie ma żadnego znaczenia dla przeżycia. Serce bije zanurzone w kłamstwie i zanurzone w prawdzie tak samo mocno lub tak samo słabo – bo to sprawa siły organizmu, a nie sprawa prawdy bądź fałszu. Prawda nie ma żadnego

znaczenia dla przeżycia, czasami bywa wręcz szkodliwa, a ja chcę żyć. Albo przynajmniej nie chcę umrzeć tutaj. – powiedział z wściekłością w głosie mój sąsiad.

Milczałem dłużej, wsłuchując się w jego świszczący oddech.

– Dobrze. – powiedziałem w końcu – Spróbujemy stąd uciec. Ja nie mam nic do stracenia. Masz rację, prędzej czy później zakatują nas wszystkich.

– Nie wiem, czy słyszałeś, ale jedna z brygad się zbuntowała. Odmówili pracy. Pobili strażników. – powiedział.

– I co?

– Przyjechał oddział i gdzieś ich wywieźli, od kilku dni nikt ich nie widział. Nie wiadomo, co się z nimi stało.

– Raczej nie należy się spodziewać niczego budującego – odparłem.

– A więc uciekniesz ze mną? – zapytał raz jeszcze, z nadzieją w głosie.

– Co z twoją żoną? – zapytałem. Milczenie. Po dłuższej chwili:

– Chcę żyć. Nie wiem. Gdybym miał mapę, gdybym wiedział, jak dotrzeć do jej oddziału...

– Nie wiesz, gdzie je zakwaterowano?

– Nie mam pojęcia. Części dzielnicy zamieszkiwanej przez kobiety pilnują strażę. Nie wolno nam nawet się przemieszczać między tymi dzielnicami.

– Nie wiedziałem. – odparłem, choć bez zdziwienia w głosie.

– Bo nikogo tu nie masz.

– Wiesz, że nie dostaniemy żadnej mapy. Najwyżej to, co sami narysujemy i zapamiętamy podczas prac.

– Trzeba podjąć ryzyko, te tunele przecież gdzieś prowadzą. Zawsze jest gdzieś jakieś wyjście.

Kiwałem w ciszy głową, odcinając się od dalszych wywodów mojego sąsiada. Tak, zawsze jest jakieś wyjście, zawsze istnieje wiele dróg, zawsze istnieje jakiś plan. Wyjścia na ogół wiedzą donikąd, drogi okazują się ślepe, a plany zazwyczaj okazują się być pobożnymi życzeniami. Problem w tym, że alternatywa prezentowała się jeszcze gorzej.

Podczas następnych tygodni odkładałem kromki suchego chleba, chowając je w trakcie posiłków pod koszulę. Mimo zmniejszenia racji żywnościowej, jakoś udawało mi się zachować siły. Dni były tak samo krótkie i szare, niebawem nastąpiła pora dreszczów i przelotne chwile spędzane

w półmroku ulic miasta zabarwiły się głębokim, ołowianym odcieniem, oblepiającym wilgocią i smutkiem. Obserwowaliśmy labirynt, rysowaliśmy w pamięci jego mapy, usiłując na podstawie rozkładu tuneli i komór odgadnąć jakiś wzór ich rozmieszczenia i kierunków – najważniejsze, aby dążyć naprzód, aby nie chodzić w kółko. Jednocześnie przykładowo wykonywaliśmy swoje prace, ładując kolejne ciężarówki gruzem zaścianającym wykute tak dawno korytarze. Nie wiedzieliśmy, gdzie znajduje się główny korytarz ewakuacyjny Zamku, ale postanowiliśmy szukać szczęścia. Nie zwracaliśmy już uwagi na umierających i zaginionych. Zastanawiałem się tylko, ilu uchodźców przed nami próbowało uciec z miasta i czy komukolwiek się udało.

Dzień, w którym zdecydowaliśmy się działać, nie różnił się niczym od poprzednich; nie było też żadnego punktu kulminacyjnego, który przyspieszyłby nasze plany. Po prostu pewnego wieczoru uznaliśmy, że już przyszedł czas. Mój sąsiad zadeklarował pełną gotowość do ucieczki; nie udało mu się uzyskać żadnych informacji o żonie; potwierdzić pogłosek o jej śmierci lub uzyskać ich dementi – mówił, że nie miał czym zapłacić za te informacje. Rano, kiedy zbudziliśmy się po głębokim śnie, wymieniliśmy tylko porozumiewawcze spojrzenia, schowaliśmy też podczas śniadania ostatnie kromki chleba. Nie mieliśmy ich wiele, ale wystarczająco, by przez jakiś czas przeżyć w labiryncie pod górą.

– O wodę nie musimy się martwić. Wewnątrz góry biją podziemne źródła. Ich ujęcia są w głębszych komorach. – zapewniał mój towarzysz.

Kiedy na miejscu pracy wydano nam narzędzia, spokojnym krokiem odmaszerowaliśmy do wyznaczonego tunelu. Otulała nas ciemność, rozpraszana nieśmiałymi błyskami starych, górniczych lamp. Baterie w latarkach już dawno się wyczerpały, nie dostaliśmy nowych.

– Duszno. – powiedział mój sąsiad.

– Lampy zabierają tlen. – odparłem. Czułem chrobot suchych kromek, schowanych pod ubraniem. Przed sobą i za sobą widzieliśmy inne światła lamp, omiatały one wykuty w skale chodnik; ciemność odgrywała tymi anemicznymi światłami kalejdoskopowy teatr cieni – groteskowych kształtów przeobrażających się na ścianach. Po chwili skęciliśmy w jedną z odnóg, po czym przyspieszyliśmy kroku. Pierwszy etap ucieczki mieliśmy dokładnie opracowany; wiedzieliśmy w który kory-

tarz skrócić, aby szybko zejść z widoku strażników i innych pracowników brygady. Kiedy pozostałe światła zniknęły i przestały za zakrętami nawet majaczyć ich poświaty, ruszyliśmy lekkim truchtem, wyciągając przed siebie ręce. Przed nami ziała ciemność, za nami zamykała się ciemność.

– Licz korytarze. Pamiętaj! – powiedział towarzysz. A zatem liczyłem, zbierałem mgnienia ciemnych prostokątów, głośno wypowiadając każdą kolejną liczbę.

– Za pięć korytarzy w prawo, będzie komora, napijemy się wody. – pokrzykiwał, zziębnięty, współnik mojej ucieczki.

– Jesteś pewien, że jest zdatna do picia? – zapytałem, wypatrując w biegu kolejnego korytarza.

– Nie. – odparł.

Po chwili wbiegliśmy w jakieś obszerne miejsce, poczułem najpierw na twarzy chłodny powiew, a następnie zauważyłem, w migotliwej poświacie lamp, wysokie kamienne ściany. Komora była odgruzowana, a zatem nie odbiegliśmy jeszcze daleko.

– Nie doprowadzą tu nigdy światła? – zapytałem.

– Uważają, że jeżeli w dalszej perspektywie popłynie tędy szambo, to nie ma sensu inwestować w instalacje i ogień w lampach zupełnie nam wystarczy. Poszukajmy źródła. – powiedział sąsiad. Wsłuchaliśmy się w ciszę, usiłując pochwycić gdzieś w pobliżu odgłos płynącej wody lub choćby skapujących skądś kropel. Z nosami przy ścianach, wpatrywaliśmy się w nie, w nadziei na refleksy światła w pasmach wilgoci, mogących naprowadzić nas na trop źródła. W końcu udało się nam je odnaleźć – spływało cienką strużką spomiędzy ścian, w które niegdyś wbito małą, kamienną rynienkę. Ile lat mogła mieć, jak dawno to było? Ugasiwszy pragnienie lodowatą wodą, usiedliśmy w ciemnościach, aby chwilę odpocząć i przemyśleć dalsze działania.

– Wiesz, chcieliśmy wyprowadzić się na wieś. – powiedział mój towarzysz. – Mieliśmy nawet upatrzoną działkę, na której chcieliśmy zbudować dom. To jest takie banalne marzenie: dom. Czerwona dachówka, komin, ogródek i drzewo. Jeździliśmy tam, ostatnio byliśmy jakiś tydzień przed ewakuacją, negocjowaliśmy cenę z właścicielem działki. Było z tym trochę zachodu, bo działka była rolna i trzeba było zmienić jej stan prawny na budowlaną. To nie jest takie proste. Ale wszystko szło zgod-

nie z planem. Mieliśmy już nawet projekt, dobrego notariusza, który nie wzięby dużo. I wszystko się posypało. – zwierzył mi się. W ciemnościach rozpraszanych migotliwym światłem lampy pokiwałem głową. – A tobie jakie marzenia zabrano? Powiedz. – poprosił.

– Nie chcę o nich myśleć. Teraz to nie ma znaczenia. – odpowiedziałem.

– Ale musiało coś być, musiałeś mieć jakieś plany. Proszę, powiedz. Dzięki temu będzie mi raźniej.

Zaśmiałem się cicho.

– Chciałem nauczyć się rysować. Zupełnie tego nie potrafię. Nie potrafię wyczuć proporcji, perspektywy. Nie potrafię prowadzić prosto kreski, a cieniowanie to dla mnie kompletna abstrakcja. A jest tyle rysunków, które uwielbiam. Czasami je oglądałem, myśląc sobie, że mógłbym tak wyrazić siebie, opowiedzieć siebie, bo nie wierzę w słowa. Zapisalem się na kurs dla początkujących.

– Ty, bibliotekarz? Dlaczego nie wierzysz w słowa?

– Wiesz, kim był Proteusz?

– Tak.

– Więc wiesz, że potrafił zmieniać postać. Słowa też potrafią zmieniać postać – każdemu mienia się innymi barwami, innym kształtem, ostatecznie innym znaczeniem. Mówisz coś, ale ktoś słyszy coś zupełnie innego. Tłumaczysz jedno, ale ktoś rozumie to zupełnie inaczej. Opowiadasz jakąś opowieść, ale ktoś słyszy w tym zupełnie inną historię. Dzięki słowom żyjemy w różnych światach. Możesz krzyczeć w rozpacz, ale słowa przekręca twój krzyk tak, że inni usłyszą w nim dowcip. Możesz żartować, ale słowa sprawia, że twój żart zostanie potraktowany jako dowód twojej rozpacz. To one decydują o tym, co kto usłyszy – dla każdej sytuacji mają miliony masek, które przywdziewają w jednej chwili, każda inna dla każdego widza. I teraz, kiedy mówię, ty pewnie słyszysz coś zupełnie innego niż to, co chciałbym ci powiedzieć.

Milczał. Po chwili usłyszałem, jak się podnosi, słabe cienie zatańczyły na ścianach i sklepieniu.

– Chodźmy. – powiedział, po czym wytłumaczył, w jaki sposób powinniśmy dalej iść.

Mijaliśmy kolejne korytarze, od czasu do czasu upewniając się, że zmierzamy we właściwą stronę. Założyliśmy, że pion ewakuacyjny musi biec blisko środka góry, musi mieć dostatecznie dużą szerokość.

Więc szliśmy naprzód, lgnąc w mrok i wilgoć, potykając się o coraz gęstszy gruz; z czasem – niemal czołgając się po jego zwałach. Czasami musieliśmy kawałek zawracać i szukać drożnego przejścia, po czym, uważnie licząc korytarze, usiłować wrócić na poprzedni szlak. Poza krótką rozmową przy źródle nie odzywaliśmy się do siebie prawie w ogóle, ograniczając się do pojedynczych słów, komunikatów. „Jeszcze trzy”. „Za chwilę w prawo”. „Kamienie” Zewsząd otaczała nas ciemność i zimno, czasami korytarze zwężyły się tak, że z trudem się przez nie przeciskaliśmy. „Gdyby ta legenda o górnikach była prawdziwa – to czy już by nas słyszeli?” – zastanawiałem się. Od czasu do czasu przystawaliśmy, oceniając poziom naszego głodu. „Jeszcze nie teraz” – mówiliśmy sobie.

– Musimy oszczędzać prowiant jak tylko się da. – dopingował mnie mój towarzysz. Od czasu do czasu gasiliśmy pragnienie w napotykanym komorach; w nich też odpoczywaliśmy, pozwalając sobie na krótkie drzemki. Ile czasu minęło, odkąd wyruszyliśmy? Godziny? Dni? Nie byliśmy w stanie tego ocenić, zanurzeni w ciemnościach rozrostłych wewnątrz góry niczym korzenie drzewa wzrastającego aż w nieskończoność.

Zbliżaliśmy się do kolejnej z komór. Czułem dotkliwie przenikające mnie zimno i ciężące ołowiem zmęczenie.

– Niedługo odpoczniesz. – powiedział mój towarzysz.

– Dzięki. – odparłem. – Może coś zjemy. Choć trochę. – dodałem.

– Nie zaszkodzi. – odparł. Szliśmy jeszcze chwilę, poczułem chłodniejszy prąd powietrza.

– Jesteśmy blisko komory. Wiesz, który to numer? – zapytałem.

– Mniej więcej. – przytaknął.

– Zimno.

Nie odpowiedział.

Przyspieszyłem nieco kroku, nie starając się nawet podnosić wysoko nóg; tunel, mimo leżących odłamków skał, był zaskakująco drożny – szło się niemal bez żadnych problemów. W pewnej chwili stanąłem w bezruchu, zupełnie zszokowany – na wyciągnięcie ręki, w słabym świetle tłącej się lampy, rozbłyśły czyjeś oczy i chuda twarz.

– Tu ktoś jest! – krzyknąłem odruchowo; w tym samym momencie usłyszałem, jak ktoś kładzie coś na kamieniach i sekundę później po-

czułem, jak na mojej szyi zaciskają się czyjeś ramiona, jak ściągają mnie w dół, obalają na ziemię, odcinając powietrze.

– Przepraszam. – powiedział ktoś syczącym z wysiłku szeptem; dopiero po chwili zdałem sobie sprawę, że to głos mojego towarzysza.

– Co robisz?! – chciałem krzyknąć, ale jego uścisk zmienił mój okrzyk w głuchy charkot.

– Przepraszam, nie starczy chleba dla nas trojga. Będziesz musiał tu zostać. – powiedział.

– O czym ty mówisz?

– Znalazłem moją żonę. Uciekniemy razem. Nie mogła odkładać chleba, nie pozwoliłem jej. Jest w ciąży. To dziecko nocy, kiedy nas ewakuowano. Musi jeść. Nasze dziecko musi przeżyć. Nasze dziecko. Wszystko, co nam zostało. Proszę, zrozum. Nie miej mi za złe. Udało się jej zdobyć mapę tuneli, nie chcesz wiedzieć, jaką cenę za to zapłaciła. Nikt nie powinien płacić takiej ceny. – powiedziawszy to, plując mi do ucha, ścisnął mnie jeszcze mocniej. – Wiemy, gdzie jest wyjście. Jest już niedaleko. Trzeba iść prosto, słuchaj, jeszcze przez trzy komory, prosto, prosto, nie skręcać, nie zbaczać. Tam jest szyb ewakuacyjny, prosta droga do wyjścia. Później jest jeszcze równina. Nie starczy tego chleba, abyśmy szli w trójkę. Jesteś dobrym człowiekiem. Przepraszam, że cię wykorzystałem. Mam nadzieję, że dasz sobie radę. Żegnaj. – powiedział jeszcze raz, po czym otaczające mnie ciemności, wraz z ostatnimi cząstkami rozpaczliwie łapanego powietrza, wniknęły w moją głowę, zatapiając mnie w swojej masie tak, jak żywica przed milionami lat zalewała i więziła owady.

Obudził mnie przeszywający ból i oblepiające, wilgotne zimno. Próbowałem się podeprzeć rękami, ale nie przez dłuższą chwilę nie byłem w stanie się podnieść. Ciemność, tylko ciemność. Zabrali moją lampę lub zdażyła się wypalić. Bez znaczenia. Naciągnęło mnie na wymioty, z trzewi wyrwało się głośnie, rdzawe beknięcie, ale bolesny skurcz wypchnął przez gardło, do ust, jedynie trochę soków żołądkowych. Kwaśne pieczenie gardła i pulsujący, tępy ból. Ledwo obróciłem się na plecy. Dotknąłem brzucha, gdzie pod koszulą chowałem suchary – pusto. Zapłakałem cicho, płacz przeszedł w krzyk, po czym urwał się, wlokąc przez chwilę za sobą swoje echo niczym ogon. Dotykałem swojej twarzy – była zimna, lepka. Puls rozrywał mi głowę, a gardło chciało eksplodować wraz każdym przełknięciem śliny. W końcu, po długich minutach, ja-

kość się podniosłem, trzymając się ścian. „Prosto, prosto, prosto” – rozbrzmiewało mi w głowie. Krok po kroku, tempem kropli przesączającej się przez kamień, posuwałem się naprzód, starając się jakoś rozgrzać. Krzychałem głośno, czując, jak wrzask przyspiesza krażenie.

Wśluchiwałem się w łomot własnego serca, w rżenie umęczonych stawów i mięśni, w chrapliwy oddech i tym właśnie stałem się w tych ciemnościach – łomotem, rżeniem i chrapliwym oddechem, wrzuconym w labirynt szczurem zmienionym magicznym zakłębieniem w kawałek świszczącego mięsa, które resztkami sił rejestruje bodźce i uparcie pełźnie, zasłuchane w mokre pacnięcia własnych tkanek. „Umrę tutaj” – myślałem, później krzychałem na głos, ale ta ciemność, ta pustka niekończących się korytarzy mogła mi odpowiedzieć jedynie echem przepoczwarczającym moje słowa, rozpraszającym je do postaci odległego dudnienia, uciekającego dalej i dalej – dalej ode mnie, dalej od swojego brzmienia. Proteuszowa natura słów, ich amorficzność kamuflowana krótkimi dystansami między ustami a uchem, ta ich przekłeta bezpostaciowość, której nie musiały już ukrywać w ciemnościach, w obliczu ostateczności – tak jakby wiedziały, że świadek ich zdekonspirowania za chwilę odejdzie w niebyt, że pochłona go te wszechobecne ciemności, podczas gdy one same rozwieją się jak dym, porzucając wszelkie znaczenia, jakie zarzucono im na grzbiet, niczym widmowe wielbłądy, które zbuntowały się na samym środku pustyni, zdradziły swego właściciela, zostawiając go na pastwę bezmiaru piachu i słońca wypalającego wszystko aż po absolutną biel, która w swojej istocie nie różni się niczym od absolutnej ciemności, gdyż w swojej dialektycznej grze zawsze wychodzą na remis wiodący ku pustce. Pożądanie wolności, pragnienie życia – słowa, słowa, słowa, zestawy fikcji, maski kryjące bezradność; powtarza się je jak mantrę otwierając szeroko usta; podobnie wyglądają ryby wyrwane z wody, które łowią pyszczkami tlen – tak samo rozpaczliwie powtarza się te fikcje, a one się przepoczwarczają w puste dudnienie, buczące tło dla łomotu, rżenia i chrapliwego oddechu duszących się zwierząt. Upadałem co chwila, obolały, na kamienie, na gruz, obijałem o nie swoją głowę, swoje członki, zasypiałem na minuty bądź dni, po czym wstawałem, pełzłem przed siebie jak glista w trzewiach potwora. Prosto, prosto, prosto.

I nagle załała mnie jasność; upadłem, osłaniając dłońmi oczy i krzy-

cząc z bólu.

Kiedy wzrok przyzwyczał się do światła i ustąpiło to rozsadzające czaszkę palenie w oczach, rozejrzałem się wokół. Leżałem u wejścia do olbrzymiego, niknącego po obu stronach w wielkich odległościach, korytarza. Wykuty w litej skale, rozjaśniony był regularnie rozwieszonymi lampami, pomiędzy którymi zwisały luźne kable elektryczne. Środkiem korytarza, opadającego ostrym kątem, wiodły szyny, pomiędzy którymi przeżyły się grube, stalowe liny. Zacząłem schodzić w dół, staczać się, co chwila przysiadając. Czułem potworny głód, promieniująca przez całe ciało. Korytarz zdawał się nie mieć końca – opadał w nieskończoność i wzrastał w nieskończoność. Czułem wyraźny prąd powietrza. W pewnej chwili usłyszałem jednostajny, narastający szum. Oddychałem głęboko. Daleko, daleko pod sobą ujrzałem szarawy prostokąt, który zdawał się przybliżać. Szum narastał, aż zdałem sobie sprawę, że to odgłos pracującego pełną mocą silnika. Po kilku minutach stało się jasne, że to platforma transportowa. Zajmowała całą szerokość korytarza i nie było sposobu, by pod nią się przedostać, nie zostając zmiażdżonym. Wjeżdżała na górę, wprost do Zamku. Kiedy podjechała do mnie, stoczyłem się na nią, po czym położyłem się na wznak, spoglądając jak nade mną migają kolejne lampy. Było mi już wszystko jedno. Musiałem przysnąć, ale nie na długo, bo kiedy znów otworzyłem oczy, lampy dalej przesuwają się nad moją głową, a szczyt korytarza zanikał w zbyt odległej perspektywie. Nie wiem, ile tak wjeżdżałem, nie jestem w stanie już odróżniać jednostek czasu – zlewają się w jeden bezmiar, zwinięty w kłębek jak włóczka, o której zapomniano i zatrzaśnięto w pudle ciśnietym na strych. Nie było już czasu, był tylko głód, pragnienie, zimno i przerażająca samotność.

Platforma zatrzymała się cicho, silnik zgasł. Kto w ogóle włączył dźwig? Wstałem i kuląc się, podszedłem do wielkich, stalowych drzwi. Były uchylone, za nimi jaśniał betonowy korytarz. Cisza. Wstępowałem powoli, wlokąc swoje nogi, trzymając się ścian. Korytarz prowadził do przepastnej hali zastawionej pudłami różnej wielkości. Z wysokiego stropu zwisały lampy, rzucające punktowe snopy światła. Wszystko sprawiało wrażenie starego i dawno opuszczonego, pomiędzy pudłami rozpiwały się gęste pajęczyny obrosłe kurzem. Podszedłem do jednego z otwartych pudeł i zajrzałem do środka. Zawierało ryzy drobno za-

drukowanego, pożółkłego ze starości, napuchniętego wilgocią papieru. Wyjąłem plik i zacząłem prześlizgiwać po nim oczami.

Zarządzenie nr 230 ws. normatywów kancelaryjnych w komórkach właściwych administracji

(wersja uzgodniona w konsultacjach wewnętrznych i skierowana do podpisu Rady Wykonawczej)

Dokument był datowany na dziesięciolecia przed moim przyjściem na świat. Kolejne pliki zawierały to samo – kolejne wersje różnych rozporządzeń, zarządzeń, protokołów, okólników, notatek, analiz. Podszedłem do innego pudła i podniesioną z ziemi deską, która leżała przy otwartej skrzyni, wyłamałem wieko. Drewno ustąpiło ze skrzypliwym odgłosem. Dokumenty, stosy dokumentów. Wersje robocze, brudnopisy, upstrzone czyimiś notatkami i uwagami. Spisywane ręcznie postanowienia, listy. Posegregowane według tematów, ukazujące ciągłość przeobrażeń przepisów na przestrzeni dziesiątek, jeżeli nie setek lat. Archiwum Zamku, dokumentacja jego straszliwej pracy. Szedłem dalej, wsłuchany w ciszę. Kilka drzwi, kilka korytarzy. Wybrałem jeden z nich, przy końcu wiódł spiralnymi schodkami w górę. Kiedy nimi wchodziłem, usłyszałem gdzieś daleko odległy stukot palców uderzających o klawiaturę maszyny do pisania. Stukot wielu palców na wielu maszynach.

Przemierzałem teraz wysoki korytarz o niekończącej się ilości drzwi. Zza każdych z nich dobywał się stukot maszyn do pisania. Żadnego ludzkiego głosu. Miękki dywan tłumił moje anemiczne kroki. Chciałem położyć się na nim i zasnąć, ale nie odważyłem się. Klik, klik, klik. W oddali zauważyłem dystrybutor z wodą. Przyspieszyłem, na tyle, na ile pozwalało mi moje wyczerpanie, po czym przywarłem do niego, puszczając płyn wprost do ust.

– Co tu robisz? – usłyszałem nagle. Przede mną stała niska, starsza kobieta, ubrana w żakiet. Miała siwe włosy spięte w kok i grube okulary. Spoglądałem na nią tępym wzrokiem i nie byłem w stanie wydusić z siebie ani słowa.

– Z jakiego wydziału jesteś? – zapytała. – Nie kojarzę cię.

– Z normatywów kancelaryjnych. – strzeliłem, opluwając się pitą łapczywie wodą, której nie zdążyłem połknąć.

– Biuro Kontroli Procedur? – wycodziła.
– Tak. – skłamałem, kiwając głową.
– Dlaczego jesteś taki brudny? – zapytała.
– Pracowałem w archiwum. Musiałem wydobyć stare zarządzenia w sprawie normatywów kancelaryjnych w komórkach właściwych administracji. Musimy zrobić analizę.

Oczekiwałem, że wybuchnie śmiechem lub krzyknie, po czym wezwie strażę, ale ona tylko pokiwała głową ze zrozumieniem.

– W zeszłym roku mieliśmy to samo. Departament Audytu kazał przeprowadzić analizę algorytmu zmian w przepisach o zasadach dokonywania restrukturyzacji w obrębie działów wykonawczych. Koledzy siedzieli w archiwum kilka dni, wyglądali zupełnie jak ty. Wnioskowaliśmy, aby ktoś tam posprzątał; wniosek jest rozpatrywany przez Biuro Infrastruktury, które przerzuca się papierami z Działem Zarządzania Informacją – ich kompetencje się krzyżują w tym zakresie i jedni drugim robią na złość; tymczasem wszystko zjedzą szczury jak tak dalej pójdzie. Masz krew na twarzy. Idź się umyć, dwa korytarze stąd są toalety z prysznicami. Są wspaniałe, Biuro Infrastruktury zrobiło kawał świetnej roboty, choć Biuro Zaopatrzenia trochę się ociągało ze względu na niejasności przy rozliczeniach przetargu.

– Dziękuję – powiedziałem. – Wiesz, jak stąd trafić na stołówkę? Muszę coś zjeść. – zadałem jeszcze jedno pytanie na odchodne.

– Prosto, prosto, w lewo, do góry schodami, przez duże drzwi, korytarzem w prawo, czwartymi drzwiami po lewej, łącznikiem do wieży i schodkami do góry. Nie sposób pomylić.

Jednakże gdzieś musiałem zbłądzić pośród obszernych korytarzy Zamku, zgubić się pomiędzy wielkimi salami, niezliczonymi drzwiami zamkowych biur, gdyż zamiast do jadalni trafiłem, przechodząc długim, krętym korytarzem, do wielkich wrót, nad którymi widniał napis „Wydział Zarządzania Zasobami Ludzkimi i Pozyskiwania Kadr”. Zmęczony, zdezorientowany, oblepiony obojętnymi spojrzeniami nielicznych pracowników biurowych, których napotykałem po drodze, przekroczyłem ich próg. Moje stopy utonęły w miękkości grubego dywanu, oślepiła mnie jasność płynąca z wielu okien, za którymi rysowały się białe kształty obłoków. Niebiański spokój, cisza lekko kontrapunktowana delikatnym szmerem klimatyzacji. W oddali usłyszałem dziecięcy śmiech.

Powoli, utykając, wlokłem się pustym korytarzem, wsłuchując się w gwar dziecięcej zabawy. Dochodził z jednego z otwartych, obszer-nych pomieszczeń po prawej stronie, gdzie przede mną. Dzieci wybuchwały na chwilę śmiechem, po czym milkły i w tym milczeniu rozbrzmiewał czyjś głos na tle łagodnej muzyki. Podszedłszy tam ujrza-łem gromadkę małych ludzi w różnym wieku – maluchów i starszaków i kilkoro w wieku szkolnym. Siedziały na miękkim dywanie, ogląda-jąc coś w telewizji – obraz młodej kobiety na tle sielskiej łąki. Kobieta tłumaczyła coś, od czasu do czasu rzucając uwagę, która bawiła wszyst-kie dzieci. Czasami pojawiały się przebitki na krótkie animacje, budzące szczególny entuzjazm wśród widzów. Dzieci były czyste i dobrze odży-wione, ubrane w kolorowe, lecz jednakowe ubranka. Na zewnątrz, pod dotykem silnego wiatru, przeobrażały się chmury, jednakże do środka nie przedostawało się nic z tego potężnego szumu mas powietrza, ob-mywających Zamek niczym rwąca rzeka.

– To ty? Co tu robisz? – nagle zapytał ktoś stojący za mną. – Pamiętam cię. – powiedział głos. Należał do kogoś młodego, do kobiety. Odwróci-łem się i ujrzałem dziewczynę, trzymającą na rękach niemowlę. Pamięta-łem jej twarz, choć wyglądała teraz zupełnie inaczej. Dziecko spoglądało na mnie uważnie. Urosło od chwili, kiedy widziałem je i jego matkę otulonych brudnym kocem w hali dworca, na którym nas wysadzono po niekończącej się podróży przez niekończącą się noc w niekończącym się składzie wagonów.

– Pamiętam cię. – powtórzyła. – Widziałam cię na dworcu. Mówi-łeś, że idziesz po jedzenie, ale nie wróciłeś. – powiedziała bez wyrzutu w głosie, raczej z niedowierzaniem, że nastąpił taki zbieg okoliczności.

– Aresztowali mnie. – rzuciłem, chcąc się wytłumaczyć. Czuję, że do oczu napływają mi łzy, a głos zaczyna się łamać. – Aresztowali, później kazali pracować przy kanałach. Tam umierali ludzie, uciekłem. Chciałem uciec z miasta, ale trafiłem tutaj. – wypluwałem chaotycznie dobierane zdania, chaotycznie dobierane słowa, wiedząc dobrze, że ich proteuszowa natura nigdy nie pozwoli mi przekazać bezmiaru poczucia winy i żalu, rozpacz, jaka we mnie wzrosła przez ostatnie miesiące.

– Pozwolili mi tu przyjść z moją córeczką. – powiedziała dziewczyna. – To są nasze dzieci, z naszego miasta. Zabrali je tutaj. Pozwolili mi przyjść, bo mała nie chciała pić innego mleka. Poza tym, jestem z wy-kształcenia pedagogiem, więc uznali, że się przydam. Dzieci są dla nich

bardzo ważne. – powiedziała.

– Nie rozumiem. – wyszeptalem.

– Wyobraź sobie, że już o wszystkim zapomniały. Teraz są szczęśliwe. Wystarczyła zabawa, ciepło i trochę rutyny. Niektóre jeszcze pamiętają, ale one też szybko zapomną.

– Nie rozumiem. – powtórzyłem.

– Wyglądasz, jakbyś przeszedł przez piekło. – powiedziała cicho. Nie odzywałem się, odwróciłem jedynie głowę.

– Chodź, dam ci jeść. Niedaleko jest stołówka. Poszukam też czystych ubrań. Musisz coś zjeść i się przebrać. Musisz się wykapać, oni nie mogą się zorientować, że tu jesteś.

– Dlaczego jest tu tak pusto? – zapytałem.

– Jest długa przerwa. Chodź, zanim się zorientują.

– Wzięli mnie za pracownika. – powiedziałem.

– Pracownicy Zamku nigdy nie widzieli nikogo innego niż inni pracownicy Zamku. – wyszeptala konfidencyjnym tonem. Ale w końcu ktoś się połapie, że przyszedłeś z dołu i że nie należysz do personelu.

– Niczego, niczego tu nie rozumiem. – odparłem.

– Najpierw coś zjesz, umyjesz się i przebierzesz. Albo na odwrót. Później coś ci pokażę.

Prysznic, czyste ubranie (szary mundur) i posiłek przywróciły mi życie, ale było w tym wszystkim coś tak odrealnionego, że nie czułem w ogóle fizyczności tych doznań – choć ciepła woda rozgrzewała moje ciało, choć widziałem brud i krew spływające do kanałów, choć posiłek przyjemnie wypełniał skurczony żołądek, a nowe, czyste ubranie otulało miękko moje członki. Opowiedziałem spokojnie dziewczynie, w jaki sposób trafiłem do Zamku, relacjonując próbę ucieczki i zdradę towarzysza. Słuchała mnie uważnie, po czym opisała ewakuację z dworca, podczas której zabrano wszystkie dzieci, ku rozpaczyc matek i ojców, których jednakże szybko, po zakwaterowaniu w Dolnym Mieście, skierowano do katorżniczych prac. Kręciłem tylko głową, po chwili nie mogłem już jeść – mój żołądek nie był w stanie przyjąć większej ilości pokarmu. Dziewczyna, widząc moje zmęczenie, odprowadziła mnie do swojego pokoju i pokazała na starą kanapę.

– Połóż się. Chciałam ci coś pokazać, ale to może poczekać. – powiedziała.

– Dziękuję.

– Nie będziesz mógł tu zostać. – wyszeptała przeproszającym tonem.
– Jeżeli się zorientują, że tu jesteś, wyrzucą i mnie. Tak bardzo się przyzwyczaili do tego, że nikt tu nie zagląda, że przestali się pilnować, ale nie mogę aż tak ryzykować. Nie mogę jej zostawić. Nie przeżyłabym bez niej. – powiedziała, całując niemowlę, które właśnie zapadło w drzemkę.
– Dam ci jedzenie na drogę i pokażę, jak stąd wyjechać. Tyle mogę zrobić.
– Dziękuję i za to. – odparłem, kładąc głowę, po czym wszystko urwało się, rozmyło.

Kiedy się obudziłem, nikogo nie było w pokoju. Zapadła noc i za oknem konstelacje niczym freski otulały kopułę nieba. W pomieszczeniu obok rozbłyskiwał mnogością barw stary telewizor. Wszedłem cicho, dziewczyna siedziała w fotelu, wciąż kołysząc na rękach swoją córeczkę. Usłyszawszy, że wszedłem, wyszeptała:

– Spałeś bardzo mocno. Tylko bezdzielni potrafią tak spać. Odkąd mam moje maleństwo, śpię jak zając. Wiecznie nasłuchuję. Chodź, usiądź, coś ci pokażę. Później przygotujemy cię do drogi.

Usiadłem na miękkim dywanie obok jej fotela. W pokoju pachniało owocową herbatą. Dziewczyna pilotem od telewizora przełączyła obraz.

– Znalazłam to przypadkiem w szafce. Jest bardzo stare.

Telewizor wyświetlał teraz czarno-biały film, na którym starszy mężczyzna, ubrany w szary mundur, siedział za biurkiem; w tle, za wielkimi oknami, przesuwwały się pasma chmur; gabinet zdawał się być zanurzonym w tych chmurach.

– Władza nie istnieje dlatego – mówił mężczyzna – że są ludzie, którzy pragną rządzić. Władza istnieje tylko dlatego, że ludzie chcą być rządzonymi. To jest jedyny powód, dla którego władza istnieje. I im bardziej brutalna jest władza, tym bardziej ludzie jej potrzebują. Tym bardziej ją czczą. Tym bardziej jej łakną. Dlatego władza swoją brutalnością musi dorównywać bogom – bo bogowie są wcieleniem ostatecznej brutalności i właśnie dlatego są bogami – mogą wszystko. Ten, kto jest bardziej brutalny i bezwzględny, może więcej. Ten, kto jest ostatecznie brutalny, jest prawdziwym demiurgiem, bo bezwzględna wszechmoc jest wymagana do tego, aby bez wytchnienia walczyć z oporem stwarzanej materii – z kamieniami, które leżą na drodze do celu; z ludźmi, którzy by-

wają jak kamienie leżące na drodze do celu; kamienie takie kopnięciem usuwa się z drogi lub wdeptuje w podłoże, utwardzając w ten sposób trakt. Władza, która może więcej, jest lepszą władzą i dlatego ludzie tym bardziej jej potrzebują. Władza, która może wszystko, jest władzą doskonałą. Władza ostatecznie brutalna jest władzą doskonałą. Właśnie dlatego ludzie jej pragną.

Stworzyliśmy nasze państwo w oparciu o tę ideę. Ale człowiek sam z siebie nie jest jeszcze dostatecznie brutalny, choć bestialstwa przychodzi mu z natury łatwiej niż czyny miłosierdzia. Jeden człowiek jest też podatny na kaprysy własnego szaleństwa, co znaczy, że podlega wszechwładzy niekontrolowanej zmienności. Dlatego odrzuciliśmy dyktaturę i kult jednostki; jednostka ma zawsze twarz lub skrywa się za maskami, które można znienawidzić – a to jest już zaczątek buntu; buntu, który pewnego dnia, prędzej czy później i bez względu na swój rezultat, eksploduje.

Stworzyliśmy więc ideę władzy bez twarzy, bez postaci, władzy rozproszonej w segregatorach z przepisami, pomiędzy kolejnymi podpisami kolejnych urzędników, dla których litera stanowionego przez nich prawa jest pierwotna w stosunku do rzeczywistości poza prawem, albowiem nie znają rzeczywistości innej niż prawo. Nie znając rzeczywistości poza prawem, nie mają skrupułów. Ich okrucieństwo jest nieświadome siebie i dlatego jest okrucieństwem najczystszy. Jest jak przyroda. Co kilkadziesiąt lat zarządzają exodus jednego z miast naszego państwa, pozyskuje się w ten sposób siłę roboczą do prac w naszym mieście, które jest miastem najważniejszym i które musi trwać bez względu na cenę, pozyskujemy też w ten sposób przyszłe kadry – uczymy dzieci, które za kilkanaście lat zastąpią urzędników, którzy podpisali rozkaz ich przywiezienia i oddzielenia od rodziców. Tylko dzieci mogą zostać mieszkańcami Zamku, tylko dzieci mogą objąć w przyszłości władzę – bo tylko je możemy nauczyć, jak w sposób ostateczny rozpraszać krępujące poczucie odpowiedzialności za okrucieństwo pomiędzy kolejnymi tomami przepisów, podpisów, zarządzeń, rozporządzeń i jednocześnie nie popaść w pragnienie otrzymania tej władzy na własność. Tylko je możemy nauczyć okrucieństwa władzy bez moralnej świadomości tego okrucieństwa, która mogłaby przynieść ze sobą skrupuły przeszkadzające efektywności władzy.

Władza jest najważniejsza. Władza musi być doskonała. Istnieje dlatego, że ludzie jej pragną, ale bez niej nie istnieliby ludzie.

Mieszkańcy miasta marzą o tym, aby pracować w Zamku, ale jedynie, co mogą otrzymać, to podsycanie ich pragnień i nadziei – dzięki temu pracują lepiej, wydajniej, posłuszniej, wiecznie goniąc uciekającą nagrodę; są jak osioł podążający za marchewką zawieszoną na wędce trzymanej przez człowieka, który rozsiadł się na jego grzbiecie. Podziwiają Zamek, bojąc się go jednocześnie, ale ponieważ mają obiekt podziwu i trwogi, muszą mieć też obiekt pogardy; sztywność tej dialektyki jest niezbywalna i należy o nią dbać jak o każdy kluczowy mechanizm. Podziw mobilizuje do pracy, aby móc wstąpić na salony, ale równie dobrym motywatorem jest pogarda, która motywuje, aby nie stoczyć się do rynsztoka. Dlatego sprowadzamy wraz z dziećmi innych mieszkańców miast, każąc im wykonywać upokarzające i najcięższe prace, rozsiewając pogłoski o tym, że przynoszą ze sobą choroby i nędzę. Skonstruowaliśmy idealny mechanizm władzy, który sam się podtrzymuje, jednocześnie podtrzymując życie państwa i motywując obywateli do pracy na rzecz państwa, bo państwo jest niemal najważniejsze – ważniejsze niż obywatele; ważniejsza jest tylko władza na szczycie, władza, która emanuje państwo; taka jest piramida, taka jest hierarchia, bez której wszystko by się rozpadło, bez której pochłonąłby nas chaos. Władza jest najważniejsza – władza jako idea, jako samodzielny, niematerialny byt który swoim pragnieniem stworzyli ludzie; byt z którego wypływa wszystko, co istnieje i porządek wszystkiego, co istnieje.

Mężczyzna mówił jeszcze, spokojnie gestykulując, ale nie słuchałem więcej, kryjąc twarz w dłoniach.

– Byłam w tym biurze. – powiedziała dziewczyna. – Pozwolili mi je zobaczyć. Nie wiem, dlaczego. Są tam monitory, podłączone do kamer we wszystkich miastach, wszystkich domach. Widziałam obrazy z naszego miasta. Żyją tam teraz inni ludzie. Mieszkają w naszych pokojach, śpią w naszych łóżkach, być może żyją naszym życiem. Kto wie, może też ich przesiedlono. Teraz wybac, muszę położyć moją dziecinę do łóżeczka. Bardzo ją kocham.

– Kiedyś to wszystko będzie należeć do niej. I do innych dzieci. – powiedziałem, spoglądając na łagodną, pełną twarzyczkę śpiącego nie-

mowlęcia.

– Tak, kiedyś tak. W jakimś sensie tak. – pokiwała głową dziewczyna.

Wyszedłem na korytarz. Po chwili dołączyła do mnie gospodyni.

– Zasnęła. Zresztą, wszyscy już śpią. W tym skrzydle mieszkają tylko dzieci.

Spoglądałem przez okno, noc była bezchmurna. Piękne, piękne gwiazdy, cudowne gwiazdy, zimne, dalekie. Równina ciągnęła się aż po horyzont, niknąc w ciemnościach. Wskazałem na wielką lunetę, zamontowaną na masywnym statywie, tuż obok okna.

– Co to jest?

– Pozwala zobaczyć miejsce, w którym podziemny korytarz wychodzi na równinę. Wyjście z podziemi Zamku. Można też patrzeć przez nie nocą. Wszędzie jest takich pełno, choć mało kto z nich korzysta. Pozwalają zobaczyć bardzo duży odcinek równiny. Wyjście jest zakamuflowane, ale łatwo je poznać – to jedyna sterta kamieni i dwa drzewa po jednej i drugiej stronie; luneta jest na nie scentrowana.

Przystawiłem oko do okularu i wniknąłem w noc, rozjaśnianą aparaturą urządzenia obserwacyjnego. Zdawało mi się, że daleko, daleko za wyjściem, płaskie obszary równiny przecinają dwa wolno toczące się, czarne punkty. Powiększyłem obraz do granic możliwości sprzętu; punkty zmieniły się w dwa czarne przecinki, wolno sunące przez nieskończoność traw. Czy to mojemu towarzyszowi udało się jakoś wydostać z podziemi? Czy musiał obchodzić strażę? Czy z kimś walczył? Czy ktoś go obserwował oprócz mnie? Czy ktoś będzie go ścigał? Czy może i tak spisali już jego i jego żonę na straty, kiedy oboje nie wrócili do swoich kwater po zakończeniu dnia roboczego? Przecież nasze umieranie miało być czymś zupełnie normalnym, nasze pełne upokorzenia umieranie było częścią doktryny, a jeżeli tak – to jakie ma znaczenie, czy ktoś opuści miasto przez komin spalarni czy na własnych nogach? Numer spada z listy, statystyka zmniejszającego się pogłowia bydła do zameńczenia nadal się zgadza. Jeżeli człowiek się nie liczy, to nie istnieje żadna różnica między jego życiem a jego śmiercią. Być może obojętność bywa w takich chwilach formą łaski. Przecinki od czasu do czasu przystawały, podpierając się wzajemnie. Ile już tak szły?

– Co widzisz? – zapytała dziewczyna.

Choć bardzo chciałem, nie potrafiłem zniechęcić mojego towarzy-

sza za to, co zrobił. Spoglądając na twarz dziewczyny, przypominając sobie jak mocno tuliła swoje dziecko, rozumiałem go i choćby dlatego nie potrafiłem go znienawidzić.

– Obiecaj mi coś, zanim pójde. Jedną rzecz.

– Tak?

– Nie pozwól, aby zapomniały. Przynajmniej twoja córka.

Milczeliśmy, wpatrując się w ogrom przestrzeni za oknem.

– Będziesz musiał iść bardzo długo – powiedziała dziewczyna.

– Wiem. – odparłem.

– Gdzie pójdziesz? – zapytała. Wzruszyłem ramionami.

– Znajdę sobie jakieś miejsce.

Opierałem czoło o zimną szybę, przymykając od czasu do czasu oczy. Gwiazdy toczyły się swoim rytmem przez niebo; gwiazdozbiory jak lodowe góry dryfujące przez czarny ocean. Po jakimś czasie niebo zaciągnęło się chmurami, które zatopiły okna zamku niczym fala przyływu. Później bardzo długo była tylko ciemność.